

Sprzedawca dobra

Rodion Iwanowicz przesiadywał całymi dniami na bazarze, w sklepiku, gdzie można było kupić wyroby żelazne, – była to lodowata zimą i latem kamienna nora z jedynym oknem tuż pod sufitem – i żuł prażone ziarna słonecznika, żeby przewyciężyć ochotę na papierosa. W sklepie rządziła jego żona – energiczna baba przy kości, rzucająca niewybrednymi słowami i pokrzykująca na niezgrabnego chłopa w kożuchu, usadowionego w kącie: „Ej, coś się tam tak rozwalili? Ani się dostać do wiader przez ciebie nie można!”. Rodion Iwanowicz, posłuszny jej rozkazom, taszczył z zaplecza skrzynki gwoździ, zwoje drutu albo „nagle potrzebny tej diablicy rozdzielacz”. Wąsata „diablica” w czapce ze skóry jagnięcej przytupywała buciorami na ceglanej podłodze, dogadując „Tyle w tobie dobra... tylko skąd się ono bierze?”. Wydostawszy się z magazynu z rozdzielaczem w rękach Rodion Iwanowicz odpowiedział sapiąc: „Dóbr tu dostatek – ale dobra brak”. Wyraz jego twarzy zawsze był smutno-dobrotliwy.

Rodion Iwanowicz nie pił alkoholu, wszyscy się więc zdziwili, że zwariował. Stuknięci w miasteczku dzielili się na dwie kategorie: na tych, którzy byli szurnięci od urodzenia, i na tych, którzy zbzikowali od ciągłego picia i leczyli się w psychiatryku. Rodion Iwanowicz nie należał ani do jednych, ani do drugich, nawet na wędkowaniu nikt go nigdy nie przyuważył. Kiedy pytali jego żonę, czy nie boi się żyć razem z wariatem, posępnie odpowiadała: „Czego tu się bać? Siedzi sobie w kąciku, z muchami rozmawia...”.

Wkrótce jednak Rodion Iwanowicz znalazł sobie zajęcie, które rozślawiło go w całym miasteczku. Ze ścinków papieru kleił pudełeczka, niewiele większe od zapalczanych, i roznosił je po domach, oferując je za pieniądze czy dobre słowo.

Pewnego dnia zapukał i do naszych drzwi. Otworzyłem. Na progu przestępował z nogi na nogę szczapowaty facet ze smutno-dobrotliwym wyrazem twarzy, w starym brezentowym płaszczu i zrudziałym berecie na ostrzyżonej na łyso wąskiej głowie.

- Nie potrzebuje pan dobra? - zachrypiał, pytająco zaglądając mi w oczy. - Proszę - wyjął pudełko z widocznymi zaciekami kleju na rogach. - Niech się pan nie gniewa.

Pomógł ojciec. Poirytowany wsunął Rodionowi Iwanowiczowi w rękę parę miedzianych drobniaków i zatrzasnął drzwi. Pudełeczko dał mnie. W moim pokoju ostrożnie otworzyłem pudełko. Jedna strona była niezaklejona - spełniała rolę przykrywki, zaś w środku znajdowało się mniejsze pudełeczko z taką samą przykrywką. Na dnie tego drugiego pudełka napisane było starannym pismem niewprawnej ręki jedno jedyne słowo - „dobro”.

Jeszcze do dziś trzymam to pudełko, które jakimś cudem przetrwało wszystkie tarapaty i przeprowadzki. Tusz na dnie już wyblakł, przybrał żółtawy odcień, jednak słowo wciąż jest wyraźnie widoczne. Wydaje mi się, że po latach zacząłem rozumieć, że słowo „dobro” ma tylko jedno - jedno jedyne - znaczenie, właśnie takie, jakie włożył w nie nieszczęśliwy Rodion Iwanowicz z miasteczka znajdującego się gdzieś na kraju świata.

Przełożyła Katarzyna Osóbka

Jurij Bujda – Opowiadania

Jedenaście kroków

Później Nina Nikołajewna wiele razy próbowała sobie przypomnieć, co tak bardzo ją zaniepokoiło tego dnia, kiedy wydarzyło się nieszczęście, które zmieniło jej życie. Dźwięki? Barwy? Zapachy? Była to ostatnia niedziela września, kiedy to trzeba było przestawić zegar na czas na zimowy. By dosięgnąć zegara, musiała stanąć na przystawionym do ściany stole. Zachwiała się i omal nie straciła na podłogę wiszącej obok zegara akwareli – rzeka, łagodne wzgórza, bladożółte zagajniki – podpisanej inicjałami P.R.: Paweł Rassadin, jej zmarły mąż, był malarzem amatorem.

Słabe jesienne słońce zawisło nad wierzchołkami bezlistnych topoli, nad trzema czarnymi kominami jakiejś fabryczki, otoczonej przez wielopiętrowe, szare bloki. Te paskudne kominy zazwyczaj ją drażniły, ale tego dnia nawet one nie mogły popsuć „pejzażu jej duszy”, jak mawiał jej zmarły mąż. Miał on skłonność do banalnej sentymentalności, którą brał z filozofię. „Człowiek – to skrzyżowanie czasu i wieczności – mawiał – i, jak na każdym skrzyżowaniu, może zbłądzić, pomylić drogę”.

„Jesień jeszcze, a czas już zimowy – pomyślała Nina Nikołajewna – Jeszcze, już...”

Poprosiła syna, by przyniósł z kuchni szmatkę – do starcia kurzu z zegara, i chłopak, przekroczywszy zwinięty w rulon dywan (w mieszkaniu trwał remont), zniknął za drzwiami. Dokładnie w tym momencie nasiliło się uczucie niepokoju, wspominała później Nina Nikołajewna. Nie doczekawszy się syna, który nie odpowiadał na wołania, zeskoczyła ze stołu i zajrzała do przedpokoju. Kostii nie było. W kuchni na podłodze leżał jakiś starzec, w kraciastej koszuli, bosi, z dłońmi przyciśniętymi do twarzy. Przerazona Nina Nikołajewna wpadła do pokoju, zaczęła drżącą ręką wybierać numer, ale zaraz rzuciła słuchawkę i pobiegła do łazienki. Potem do sypialni. Kostii nie było. Nie mógł ukradkiem wyjść

z mieszkania: drzwi wejściowe zastawione były przesuniętą na czas remontu szafą na ubrania. Okna były zamknięte. Wybiegła na balkon - ciche zamieranie ciepłego wrześniowego dnia, z jego nieruchomym, słabym słońcem, ogołoconymi topolami i ospałością rozlewającą się w powietrzu poraziło ją niczym najokrutniejszy, nedorzeczny, przerażający koszmar. Nagle zrozumiała, że nie pozbędzie się tego wrażenia już nigdy, i zaczęła krzyczeć...

Opowiadając milicjantom o zniknięciu syna często przyłapywała się na myśli, że całe to zdarzenie jest po prostu nieprawdopodobne, i męczyła się, ledwo powstrzymując się od popadnięcia w panikę. Śledczy próbował ją uspokoić. Pokazała, gdzie znajdowała się w momencie, gdy Kostia wyszedł z pokoju. Potwierdziła, że nie słyszała żadnych podejrzanych dźwięków. I nie znała i nigdy wcześniej nie widziała tego zagadkowego, bosego staruszka, który jakimś tajemniczym sposobem znalazł się w jej mieszkaniu. Przecież nie wspiał się ani nie wleciał na piąte piętro... Przylecieć, żeby umrzeć w jej kuchni? Absurd.

Niczego nie dało także przesłuchanie sąsiadów. Nikt nie znał staruszka. Nikt też nie widział chłopca, który nie wiadomo jakim sposobem opuścił mieszkanie. Ba, opuszczenie mieszkania było po prostu fizycznie niemożliwe! Przebadawszy każdy metr kwadratowy mieszkania, detektywi rozłożyli ręce. Wychodzi na to, że chłopak przepadł w drodze z salonu do kuchni, kiedy matka przestawiała wskazówki zegara na czas zimowy. Te jedenaście kroków okazało się fatalne dla Kostii i jego matki. Jeszcze lata później od czasu do czasu bezwiednie liczyła kroki od progu salonu do progu kuchni. Jedenaście. Zawsze jedenaście. W tej banalności było coś niepojęcie złowieszczonego. Gdzie, jak przepadł chłopak? Ani ściany, ani ludzie nie potrafili odpowiedzieć na to pytanie.

Gdy Nina Nikołajewna nieco się uspokoiła, powiedziała śledczemu, że przypomniała sobie o kawałku sera, pozostawionym na stole w kuchni. Wyjęła go z lodówki do obiadu. Ser leżał na stole nie dłużej niż

półtorej godziny, ale przez ten czas zdążył przemienić się w kłębowisko cuchnących serem robaków.

Lekarze stwierdzili, że staruszek zmarł z przyczyn naturalnych – serce, wiek, i Nina Nikołajewna dostrzegła, jak detektyw o zabawnym nazwisku Lediuk westchnął z ulgą.

Z humorem opowiedział jej o swoich przodkach, francuskich monarchistach, którzy osiedli w Rosji w 1801 roku i zmienili pretensjonalne nazwisko Le Diuk na całkiem prostackie, swojskie Lediuk. Siergiej Michałowicz nie skrywał radości, gdy w końcu stało się jasne, że Nina Nikołajewna nie ma nic wspólnego ze śmiercią nieznanego.

Staruszka pogrzebano na koszt państwa. Kilka miesięcy później Nina Nikołajewna poprosiła Lediuka, by powiedział jej, na którym cmentarzu pochowano prochy nieznanego i poleciła zbudować tam skromny nagrobek z numerem. Teraz miała miejsce, dokąd mogła pójść i położyć jesienne kwiaty.

Po kilku latach Nina Nikołajewna przestała się wzdrygać, ilekroć dostrzegła w tłumie chłopca z płową grzywką i rudawym kręgiem z tyłu głowy. W ostatnią niedzielę września chodziła „do Kostii” – na cmentarz, gdzie leżał nieznanomy starzec. Myślała o strasznym rozdarciu, nagle powstałym na styku czasu i wieczności, w które mógł zapaść się jej syn, aby powrócić jako siedemdziesięcioletni starzec w kraciastej koszuli, bosi, z dłońmi przyciśniętymi do twarzy. Pocięszała ją ta głupia fantazja. Na cmentarzu spędzała godzinę czy półtorej. Lediuk czekał na nią w samochodzie przy bramie. Czasami, nagle sobie coś przypomniawszy, zrywała się, rozglądała niepewnie, nie mogąc pojąć, co sprawiło, że nagle tak się wystraszyła. Pożółkłe drzewa, jasne bryły domów w oddali, błękitne sklepienie nieba i słabe wrześniowe słońce kolejny raz przywodziły ją na myśl, że między czasem a wiecznością jest tylko jedenaście kroków, tyle co nic, i ta naiwna myśl, w dziwny sposób, pozwalała jej pogodzić się z życiem...

Przełożyła Maria Rusin

*Przekłady opowiadań Jurija Bujdy powstały w ramach projektu
Studenckiego Koła Naukowego „Hieronymus” przy Instytucie
Filologii Germańskiej.*

*Wybór tekstów: dr Henryk Grzyś
Redakcja: dr Henryk Grzyś, dr Agnieszka Buk*